

Marsz czarnego chleba – rewolta biedaszybów

8 stycznia 2018

„Tak, mogę zabić, mogę kraść, jestem do tego zdolny. Ale nie mogę sobie wyobrazić, że napadam na kogoś równie biednego jak ja. Bóg na wszystko patrzy. Wolę cierpieć, umrzeć, niż iść żebrać, czy kraść. Dlatego kopiemy” – górnik z biedaszybu w marokańskiej Dżaradzie, gdzie od dwóch tygodni trwa protest robotniczy, nie jest specjalnie zdenerwowany. Jeśli wyszedł na ulicę, to dlatego, że „życie tutaj niewiele różni się od śmierci”, to wszystko.

22 grudnia dwaj bracia, 23-letni Dżeduan i 30-letni Husin kopali węgiel na głębokości ponad 80 m pod powierzchnią ziemi. Najpierw wiele dni kopali dziurę, by dostać się do chodników zamkniętej kopalni. Tego dnia któreś z uderzeń kilofa otworzyło podziemne źródło, zasypała ich masa wody i błota. Kolega, który przeżył, zaalarmował władze, ale ta się nie przejęła. W końcu śmierć w biedaszybach to rutyna, wyciągnięto ich dopiero nazajutrz. Pogrzeb rutynowo nakazano w nocy, by nie robić hałasu. A jednak tym razem rutyna przegrała, ludzie niespodziewanie powiedzieli „nie”.

Ta historia przypomina inny bunt społeczny, wywołany śmiercią ubogiego rybaka z Al-Husajmy w marokańskim Rifie, na północy kraju. W październiku 2016 r. zginął otoczony policjantami, co doprowadziło do manifestacji i powstania „Hiraku” – ruchu społecznego, którego bilans powinien przestraszyć mieszkańców Dżarady, choć nie wznoszą berberyjskich flag, jak w niepodległym niegdyś Rifie, lecz marokańskie. Hasła „chleba i pracy!” doprowadziły setki manifestantów z Rifu do więzienia. Dziś siedzi co najmniej 410 osób. Niektórzy z wyrokami 20 lat więzienia za „blokowanie ruchu ulicznego za pomocą barykady”, co w sumie miało stanowić „zagrożenie dla bezpieczeństwa

państwa”.

WIDMO BANKU ŚWIATOWEGO

Dżarada to 42-tysięczne miasto w górach Atlasu na północnym wschodzie Maroka, w którym jeszcze 20 lat temu mieszkało 60 tys. ludzi. Wtedy wielkiej biedy nie było. Blisko stąd do Wadżdy na algierskiej granicy, wielu mieszkańców żyło więc z mrówczego przemytu, ale przede wszystkim było to marokańskie zagłębie górnicze, powstałe tu w latach 20. ub. wieku, gdy pod ziemią odkryto węgiel. Państwowe kopalnie zatrudniały tysiące ludzi, miasto z tego żyło. Było tak dobrze, że w 1985 r. Maroko zwróciło się do Banku Światowego o niewielki, rozłożony na lata kredyt – 27 milionów dolarów – na modernizację kopalni i zwiększenie wydobycia. Ale po kilku następnych latach Bank nie był zadowolony. Zyskowność wydobycia ocenił jako niewystarczającą, warunki geologiczne za zbyt trudne, i powołując się na brak światowej koniunktury na węgiel przerwał kredytowanie.

Państwowa spółka ciągnęła jeszcze wydobycie do 1998 r., ale ceny węgla były tak niskie, że postanowiono ją zlikwidować. Z dnia na dzień tysiące górników znalazło się bez pracy i bez żadnego programu socjalnego. Znalezienie pracy w mieście, w którym nie przewidziano żadnej alternatywy gospodarczej, było oczywiście niemożliwe, więc władze zachęcały do szukania zatrudnienia w innych regionach kraju. Tak też się stało: tysiące ludzi pojechało za chlebem do innych miast lub na emigrację do Europy. Ci, którzy zostali, nie mogli już nawet ratować się granicznym przemytem, bo ciągłe kłótnie obu sąsiadów – Maroka i Algierii – doprowadziły do faktycznego zamknięcia granicy. Dziś nazywa się ją „rozmównicą”, bo podzielone rodziny mogą tam najwyżej krzyczeć przez graniczny płot. Dżarada robiła to, co dzieje się w wielu miejscach na świecie, gdzie bieda łączy się z zamkniętymi kopalniami: zaczęła kopać biedaszyby.

„NOWOCZESNE” SAMOZATRUDNIENIE

Znakomity marokański fotograf Mehdy Mariouch dobrze zna bieda-górników z Dżarady. Pewnie gdyby nie bunt w mieście, marokański tygodnik TelQuel nigdy nie opublikowałby jego fotoreportażu, na którym widać, jak to wygląda. Inną konsekwencją buntu było odgórne wstrzymanie skupu worków z węglem, co natychmiast pozbawiło 2 tys. rodzin jakiegokolwiek dochodu. Bo władze zamknęły kopalnie, ale wystawiły lokalnym przedsiębiorcom i przedstawicielom administracji licencje na skup węgla. To dlatego biedaszyby mogły funkcjonować. Było to „nowoczesne” rozwiązanie problemu: po co prowadzić jakąś kopalnię, gdzie trzeba płacić na bezpieczeństwo wydobywania i jeszcze zatrudniać górników, skoro neoliberalne „samozatrudnienie” załatwi sprawę. Ceny węgla poszły w górę, więc pomysł na rentowność, choć XIX-wieczny, mógł zadowolić nawet Bank Światowy.

Bunt robotników zachwiał się przez moment, gdy wstrzymano skup węgla. Ale śmierć braci z biedaszybu, stała się zapalnikiem podobnym do śmierci rybaka z Al-Husajmy. „Już się nie da żyć”, jak głosi jeden z transparentów. Kilka tygodni przed tragedią z 22 grudnia, ludzie zaczęli zbierać się przed budynkiem władz miasta, bo rachunki za prąd i wodę skłaniały Dżaradę do dalszego upadku – wiele rodzin musiało wrócić do świec i lamp naftowych, jeździć do dalekich studni. Wyjaśnia to emeryt pracujący w biedaszybie, w krótkim, filmowo-fotograficznym reportażu Marioucha: „Zarabiałem 1600 dirhamów. 750 szło na wodę, 460 na elektryczność.” Jeśli nic się stanie, w biedaszybie zarobi 80-90 dirhamów po 12 godzinach pracy (ok. 30 zł).

STRAJK GENERALNY

Pierwsze, co zrobiły władze marokańskiego królestwa na wieść o buncie w Dżaradzie, to skierowanie do miasta dodatkowych oddziałów policji. Bunt zaczął się od niezgody na kolejny nocny pogrzeb, górnicy zaczęli się zbierać pod cmentarzem i pokazywać pięści. Najpierw władza aresztowała kilkanaście osób, które próbowały ustawić tradycyjny namiot żałobny, a

potem zwolniła, bo nieoczekiwanie całe miasto stanęło. Strajk generalny był przestrzegany nawet przez prywatne sklepy. Dwa dni później tysiące ludzi jawnie odprowadziło zmarłych braci na cmentarz. Na miejskim placu tłum nie przestawał już manifestować. „Dość nędzy!”, „Chleba i pracy!”. Wkrótce uliczne pochody nazwano „marszami czarnego chleba”. Pojawiły się też hasła z „Hiraku”: o skończenie z marginalizacją i zaniedbaniem regionu, „ukrócenie wyzysku”, zatrzymanie „złodziejstwa” administracji.

Na ulicach nie zabrakło portretów króla Muhammada VI, bo ludzie wierzą, że król jest dobry i miłosierny, tylko różni czynownicy go oszukują. Zresztą nikt nie chce siedzieć za podważanie najwyższej władzy. Policja stała się wszechobecna, a górnicy z Dżarady nie należą do osiłeków: mniej więcej trzy czwarte z kilku tysięcy „ludzi z biedaszybów” choruje na pylicę, ciężką chorobę płuc spowodowaną wdychaniem pyłu węglowego. Nie mają pieniędzy na odpowiednie maski. Nie ścierali się z policją, ale i nie ruszyli się z miejsca. Kiedy premier Maroka Saadeddine Othmani ogłosił, że nie ma zamiaru udać się do Dżarady, a jedynie „spotkać się z posłami tamtego regionu”, miasto znowu stanęło. Odezwały się związki zawodowe, ale w Dżaradzie dawno już ich nie ma, ludzie odmówili korzystania z ich pośrednictwa.

ODRUCH WŁADZY

Rewolta w Dżaradzie nie poruszyła światowych mediów, ale szybko stała się szeroko znana w krajach Maghrebu. Sytuacja, gdy państwo z jednej strony zachęca i koncesjonuje skup węgla, ale „samozatrudnionych” górników uważa za nielegalnych (przymykając na to oko), nie jest charakterystyczna tylko dla tej branży. Takie korupcjogenne układy, które w jakiś sposób łątają brak polityki społeczno-gospodarczej, dotyczą wiele krajów, nie tylko w Afryce. Brak zaufania do władzy stał się w Dżaradzie normą. Kiedy na początku stycznia rząd zdecydował się wysłać do miasta swego przedstawiciela – ministra energetyki i przemysłu wydobywczego Aziza Rabbaha – wiara w

jego gromkie obietnice pozostała bardzo umiarkowana.

Bo rząd próbuje na razie załatwić sprawę „po dobroci”, bez represji jak w Rifie. Minister mówił do górników językiem koncyliacyjnym, ale jak z rutynowego przemówienia rządowego: stworzy się plan rozwoju całej prowincji, mapę geologiczną, ściągnie inwestorów... Wszystko to słyszeli 20 lat temu, a teraz muszą żyć jak w XIX w. Stworzyli własną listę postulatów, ale kto się zgodzi wypłacić odszkodowania rodzinom, którym biedaszyby odebrały ojców, mężów i braci? „Nie ma takiego funduszu”. Można najwyżej rozłożyć na raty rachunki za prąd i wodę.

STRACH O DZIECI

Rozedrgane miasto nie bardzo wie, co robić. Czy protesty coś pomogą? Z Rifu dochodzą ponure wieści. Tam już manifestować nie można. W grudniu policja aresztowała pod Al-Husajmą jedenaścioro dzieci w wieku od 10 do 14 lat, które udało się jej złapać w czasie „nielegalnego zgromadzenia ulicznego”. Będą sądzone 15 stycznia. Ich społeczny adwokat twierdzi, że były torturowane, co pewnie skończy się odebraniem mu prawa wykonywania zawodu.

Do Rifu przyjeżdżali społeczni adwokaci z Tunezji, by pomagać swym marokańskim kolegom. Alarmowali o przypadkach tortur, maltretowania, nawet gwałtów na uwięzionych, co zmusiło władze do śledztwa w 66 przypadkach, które zresztą utknęło w martwym punkcie. To powoduje, że Dżarada walczy, ale i się boi. W końcu nie wiadomo jak długo władza zechce mówić po dobroci. A dzieci trzeba wyżywić. Może wrócić do biedaszybów.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu